

W Y D A N I E S P E C J A L N E

MAGAZYN OPINII

Pismo

WYDANIE SPECJALNE NR 1/25 | LATO 2025

WOKÓŁ
JEDZENIA

JADŁOSPIS

Aga Kozak
robi wiwisekcję
polskiej kuchni

Michael
Pollan mówi
nam, co jeść

Czy uprawa ziemi
uzdrowi świat?

Zaproś
nieznajomych
do stołu



CENA: 21,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035

01>



9 772544 502517

Najedzeni



KATARZYNA
KAZIMIEROWSKA

(ur. 1979),
dziennikarka
i redaktorka.
Redaktorka
prowadząca
i sekretarzynie
redakcji „Pisma”.
Autorka cyklu
*Strategie
przetrwania*,
a także książek:
*Życie. Strategie
przetrwania*
i *Wielkie zmęczenie*.
Osobista historia
cukrzycy typu 1.

Aga Kozak w swoim eseju *Głodni*, który przeczytacie w tym wydaniu specjalnym, pyta, czy prawdą byłoby stwierdzenie: „Pokaż mi, co masz na talerzu, a powiem ci, kim jesteś? Trochę tak, choć dodałabym do tego jeszcze jedno: «Pokaż mi, jak jesz?»”. Otóż ja jem szybko. We wspólnym jedzeniu najbardziej cenię towarzystwo, a nie to, co na talerzu. Nigdy nie zastanawiałam się, czy rozpoznaję smak umami albo czy tekstura danego dania jest odpowiednio wyczuwalna. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to, jakbym nie umiała dobrze wykorzystać własnego przywileju: mieszkanki Warszawy, która ma na chleb, a nawet na więcej – może sobie od czasu do czasu pozwolić na rzemieślnicze wypieki i inne cuda z kulinarnej oferty stolicy. Przez lata uważałam, że stanie przy garach to strata czasu. Nie umiałam porządnie gotować ani piec. Ani jeść.

Do czasu. Tej zimy, udręczona brakiem słońca, wieczną szarugą za oknem, smogiem, ponurymi wieściami z zagranicy i ogólnym poczuciem przeciążenia, sięgnęłam po książkę japońskiej pisarki Asako Yuzuki zatytułowaną *Masło*. Główna bohaterka, wychowana w kulturze promującej chorobliwą szczupłość dziennikarka, zadowala się byle jakim jedzeniem ze sklepu, czasem coś odgrzeje. Marzy o tym, by wywiadu udzieliła jej siedząca w więzieniu zabójczyni, była blogerka kulinarna. Ta się zgadza, pod warunkiem że dziennikarka spełni kilka jej kaprysów. Między innymi ugotuje ryż, który potem wzbogaci masłem i sosem sojowym. Albo upiecze ciasto *quatre-quarts*. Albo pójdzie w nocy na ramen do konkretnej knajpki. Dawno książka nie zadziałała tak silnie na moje zmysły. A potem, pierwszy raz w historii, zaciągnęła mnie do kuchni. Od zimy piekę. I gotuję. Ale głównie piekę. I chcę więcej wiedzieć o jedzeniu, które wkładam do piekarnika, do garnka, do ust. Dlaczego takie, a nie inne składniki znajduję w lokalnym sklepie. Czemu warzywa i owoce prosto od rolnika smakują lepiej. I jaki jest prawdziwy koszt produktów spożywczych, które sprowadzamy w ramach kaprysu czy mody.

Efektom tych rozważań jest numer wydania specjalnego „Wokół Jedzenia”, który trzymacie w rękach. Na przystawkę polecam opowiadanie Barbary Sadurskiej, która zabiera nas do pewnej niezbyt wygłędnej knajpy. Osobiście nie chciałabym w niej ani jeść, ani pić. W tekście *Głodni* wspomniana Aga Kozak przypomina nam, czym się zjadaliśmy i zjadamy od momentu zmiany ustrojowej, oraz zastanawia się, czemu nagle znaleźliśmy się w martwym kulinarnym punkcie. W tej podróży towarzyszą jej kucharze, restauratorzy, filozofowie jedzenia i wydawcy książek kulinarnych. Ewa Pluta chciałaby czerpać radość z posiłków, ale w towarzystwie. Sprawdza więc granice własnej tolerancji – i ciekawości – umawiając się na kolacje z nieznanymi. Z kolei Julia Lachowicz-Nowińska, nasza stała korespondentka w USA, zamiast rozpisywać się o restauratorach wspierających ruch *farm-to-table*, postanawia porozmawiać z osobą, która tę koncepcję wcieliła w życie. Odwiedza Rupę Maryę, aktywistkę działającą na rzecz regeneracji ziemi i lekarkę, która uznała, że tylko rezygnacja z zasad systemu kapitalistycznej produkcji jedzenia i postawienie na rolnictwo regeneratywne, oddawanie plonów ziemi potrzebującym jest prawdziwie rewolucyjnym działaniem. Na dokładkę polecam mocny reportaż Dhruva Khullara tłumaczący, na czym polega wysokoprzetworzone jedzenie, które możemy spotkać na każdym kroku, oraz co ono robi naszemu zdrowiu i ciału. W menu znalazł się także świetny fotoreportaż Nicola Panzeriego, który przejechał rodzime Włochy, by pokazać, gdzie i w jakich warunkach produkuje się żywność w kraju tak silnie przywiązany do kulinarnych tradycji. Zapraszam też na spotkanie z Michaellem Pollanem, który zgodził się porozmawiać ze mną o tym, co ląduje na naszym talerzu, a co się na nim znaleźć nie powinno i jak świadomość tego, co wkładamy do sklepowego koszyka lub od razu do ust, może wpłynąć na nasze życie i zdrowie w przyszłości. A na deser proponujemy felieton Pawła Bravo, który zauważa, że czy tego chcemy, czy nie, jedzenie jest polityczne, co często zamiast rozjaśnić obraz naszych wyborów żywieniowych – zaciemnia go. Nasze czasy wymagają od nas, byśmy byli nie tylko świadomymi obywatelami, lecz także odpowiedzialnymi konsumentami, nawet w tak prostych wyborach jak ten między hot dogiem ze stacji benzynowej a własnoręcznie przyrządzoną zupą pomidorową.

Życzę Wam smacznej lektury, sama ucząc się trudnej sztuki jedzenia powoli.

Pismo.

MAGAZYN OPINII

WYDANIE SPECJALNE NR I/25

PROZA

Imię psa | 4

BARBARA SADURSKA

FELIETON

74 | GOŚCINNIE Zagubieni w supermarkecie

PAWEŁ BRAVO o tym, że jedzenie jest polityczne

POEZJA

najlepszy człowiek na świecie | 80

AGA ZANO

ESEJ

10 | Głodni

AGA KOZAK przypomina nasze kulinarne uniesienia ostatnich trzech dekad

OBRAZ

FOTOREPORTAŻ Feed Us (II) | 34

NICOLÒ PANZERI

REPORTAŻ

24 | Zabójcze jedzenie z fabryki

DHRUV KHULLAR o tym, dlaczego tyjemy, jedząc wysokoprzetworzoną żywność

GALERIA

KRUPA ART FOUNDATION

PORTRET

44 | Zapalona

JULIA NOWIŃSKA-LACHOWICZ odwiedza lekarkę, która chce wyleczyć Ziemię

OKŁADKA Brokuł nasz powszedni

EMILIA DZIUBAK

HISTORIA OSOBISTA

56 | Zjedźmy razem obiad

EWA PLUTA zaprasza nieznajomych do stołu

WOKÓŁ KSIĄŻEK

64 | Co jutro na śniadanie?

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA pyta MICHAELA POLLANA o zasady jedzenia

Pismo.

MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie zarządu:
Urszula Kifer, Kalina Wyszyńska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer Redaktorka prowadząca Wydania Specjalnego: Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski Redakcja: Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk, Joanna Dolecka,
Zofia Sawicka, Ilona Turowska Korekta: Tatjana Krajowska-Kukiel, Monika Marczyk, Dorota Śrutowska
Redakcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni), Paulina Górską
Producent Audioseriali: Mateusz Roesler Menedżer marketingu i sprzedaży: Paweł Cybulski
Media społecznościowe: Marta Szymczyk Marketing: Anna Ostrowska
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Łukasz Tofil Menedżerka fundraisingu: Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



GALERIA

Kokosowe kulki

KAROLINA KONOPKA

Olej na płótnie, 2023

Dzięki uprzejmości artystki i Krupa Art Foundation



Maczki

KAROLINA KONOPKA

Olej na płótnie, 2023

Dzięki uprzejmości artystki i Krupa Art Foundation

Partnerem wydania specjalnego
jest Krupa Art Foundation.

KRUPA ART
FOUNDATION

Imię psa

tekst BARBARA SADURSKA

Przestałem się odzywać. Po prostu zamilkłem.

Zaczęło się od tego, że w pracy było tak głośno, że nie dało się rozmawiać. Głośniki ryczały koło baru, knajpa była znana z dobrej muzy, więc gdy ściszałem, ludzie przy stolikach podnosili łby i wtedy pani Hanna podgłaśniała. – Coś ci nie pasuje? – pytała. Kręciłem przecząco głową i bez słowa przyjmowałem zamówienia od kelnerki, na kartce pisałem sobie, co mam wydać, gotowe dania wystawiałem na ladę, Natalia zabierała, pani Hanna wbijała na kasę, klienci płacili. Cały dzień mogłem tak przeżyć w milczeniu. W huku i w milczeniu.

Po zmianie trzeba było ogarnąć kuchnię i kible. Ja zawsze wybierałem kible. Brałem ze schowka wiadro i szmatę, pokazywałem, że idę na dół i szedłem. Innych chętnych nie było, nie musiałem tłumaczyć, dlaczego akurat wolę myć zarzygane kible. Kończyłem tę robotę jako ostatni. Nikogo już na górze nie było, tylko klucze leżały na stole. Potem tłukłem się nocnym dwadzieścia przystanków, nad ranem wysiadałem na pętli daleko za placem Centralnym. Kiedy szedłem drogą bez chodnika, latem już szarzało, ptaki się darły z całych sił. Krzyczały rozpaczliwie, zaplątane w gałęzie drzew, jakby były w lesie, ale nie były w lesie, a ja nie mogłem tego znieść. Otwierałem drzwi wynajętej mikrokawalerki i tak jak stałem,

czasem nawet w butach, kładłem się na nieścielonym od dawna łóżku. Chowałem łeb pod koc i zasypiałem. Po co miałbym je ścieścić, skoro spędzałem w nim pięć, czasem sześć godzin, od trzeciej do dziewiątej, żeby na dziesiątą być w pracy. To ja miałem klucze. Ja musiałem otworzyć knajpę, włączyć ekspres, przetrzeć blat. I tak codziennie, siedem dni w tygodniu, 17,50 za godzinę.

Wrzesień był gorący, październik suchy. Ludzie chodzili w krótkich rękawkach. Rano wpadali na sernik i kawę. Po południu zamawiali bajgle z hummusem albo chia pudding z sosem mango. Specjalność kuchni. Rano zalewałem jedną czwartą szklanki nasion chia połową szklanki mleka z łyżeczką miodu i wstawiałem do lodówki. Przed podaniem miksowałem mango, finezyjnie układałem owocowy mus na gęstym puddingu z chia, ale tak, żeby wyraźnie zaznaczyć warstwy, posypywałem prażonymi migdałami i stawiałem na wydawkę. Natalia mówiła, że za ten pudding zgarniała najwięcej. Albo hit: plastry ogórka z grubo mielonym różowym pieprzem. Z nudów je tak podawałem. Natalia nazwała to sałatką Sezon ogórkowy i wciągnęła do menu. Stała klientka dała jej napiwek za talent poetycki. Nie, że dla kuchni, tylko za talent poetycki. Przepiliśmy go komisyjnie. Następnego dnia Natalia nie wróciła do pracy. Podobno pani Hanna ją zwolniła. Nie chciałem być

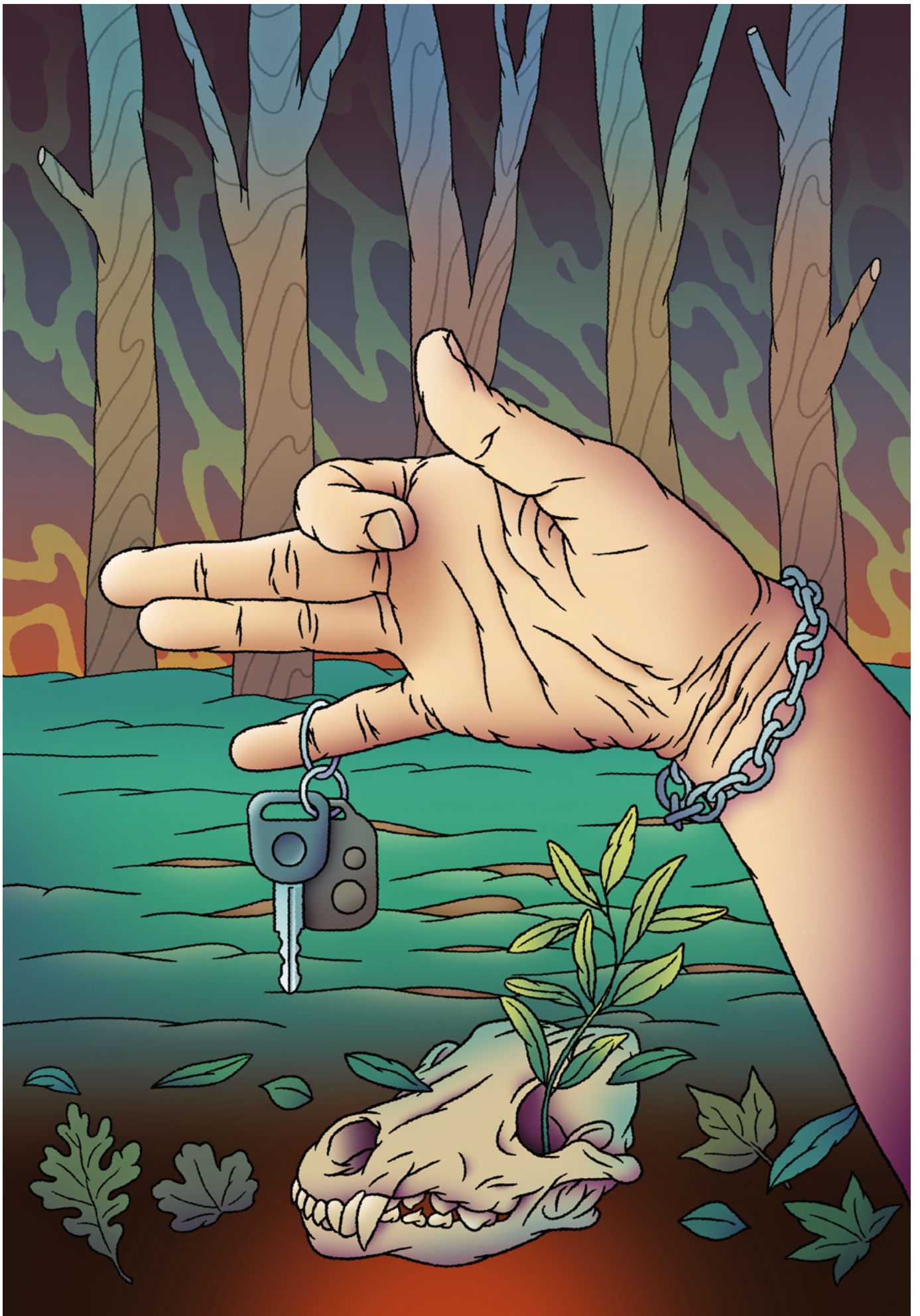
następny. Nie kombinowałem więcej przy garach.

Jesienią pierwszy raz mnie dopadło. Nie wiem, co mi się stało, po prostu odcięło mnie. Nie potrafiłem wstać z łóżka, jakby ktoś odebrał mi ciało. Ręce tak drżały, że nie dawałem rady napisać głupiego SMS-a. W końcu wystukałem, że mam grypę, covi-da albo inne gówno i nie przyjdę do kuchni. Koło południa pani Hanna przysłała tak-sówkę po klucze. Owinięty kocem zszedłem na dół, dałem je kierowcy bez słowa i wróciłem do łóżka.

Wtedy jeszcze nie miałem kołdry. Długo nie miałem kołdry. Przykrywałem się kocem. Wtulałem nos w szorstkość koca. Wpychałem go sobie do ust, żeby nie krzyczeć z przerażenia i tak zasypiałem, rozdygotany. Wyobrażałem sobie, że ten koc to ciepłe ciało psa, że śpię wtulony w ciepłe ciało psa. Wsłuchiwałem się w jego oddech, czasem prawie udawało mi się go usłyszeć. To mnie uspokajało.

Ile dni tak spędziłem, nie wiem, ale myślałem, że umrę. Naprawdę myślałem, że umrę w tym wynajętym mieszkaniu w mieście, za miastem, na końcu świata. Miałem taką nadzieję, ale nie umarłem.

Chyba wtedy zacząłem pisać. Żeby nawet po śmierci pamiętać, jak chleptał wodę, gdy wracaliśmy zdyszani. Żeby nie zapomnieć, jak pachniał wiatr, gdy biegaliśmy.



Czy można leżeć tak bez ruchu? Nie zimno mu tam?

– Jak ty sobie tam dajesz radę? – spytała matka, gdy blady jak trup, z podkrążonymi oczami przyjechałem do domu na pierwszego listopada. Wzruszyłem ramionami i rozciągnąłem usta w najszerszym i najszerszym uśmiechu, na jaki mnie było stać. Poszliśmy na cmentarz. Ojciec spotkał szwagra, przystanęli przed bramą. Brat powiedział, że podrzuci mamę jeszcze na ten drugi cmentarz, gdzie leży babcia. Poszedłem sam w stronę domu, ale skręciłem do lasu. Wniosłem do jego chłodu fałszywe ciepło, oddech, obcy chrzęst ludzkich kroków. Wszedłem między drzewa, wiedziałem, dokąd idę. Leżał w korzeniach buku, zawinięty w koc, tam go zakopałem wtedy. Przed wyjazdem. Głęboko pod korzeniami. Pamiętam, miał zmatowiałą zimną sierść i bezwładny łeb, kiedy go niosłem, kiedy go wniosłem do lasu. Wtedy, przed wyjazdem, miałem tyle słów do powiedzenia, tyle myśli. Teraz stałem tu i milczałem. Potem położyłem się na zimnych brązowych liściach i leżałem jak pies.

Wydaje mi się, że milczałem już wówczas od kilku miesięcy. W każdym razie jestem prawie pewien, że podczas tego pobytu w domu nie udało mi się powiedzieć ani jednego słowa. Ani jedno słowo nie przeszło mi przez gardło.

Drugiego listopada znów byłem w pracy. W pracy jest łatwo, kiwasz głową, odbierasz zamówienie, układasz na talerzu, polewasz sosem raz balsamicznym, raz waniliowym, oddajesz zamówienie. Po zmianie szorujesz kibel i podłogę wokół kibla, zlewasz chlorem, spuszczasz wodę. Nalewasz dwie wódki, wypijasz. Zamykasz knajpę, wracasz do pokoju. Kłudzisz się spać. Wolne masz w dni ustawowo wolne od pracy. Jesteś wdzięczny pani Hannie, Świętemu Józefowi i wszystkim aniołom i świętym za pracę, dzięki której możesz zapłacić czynsz. W Zaduszki pani Hanna powiedziała, że wyglądam jak duch i że bym się gościom nie pokazywał na oczy, że bym się ogarnął. Schowałem się na zapleczu. Założyłem maseczkę i okulary. Pracowałem do późna. Tym razem knajpę zamykała pani Hanna. Czekala na górze, aż wycisnę i rozwieszę szmatę, wytrę ręce, założę kurtkę, wezmę plecak.

Było po drugiej, kiedy wyszedłem na ulicę. Powietrze śmierdziało paloną gumą. Z daleka dochodził ryk silników. To młodzi robili sobie wyścigi.

Czekałem na przystanku na nocny, gdy nagle miasto ogarnął mrok. Spojrzałem w górę. Czarne niebo wisiało nad moją głową jak szmata. Ani jednej gwiazdy. „Jak to możliwe, że na niebie nie ma gwiazd” – pomyślałem.

Tej nocy nie mogłem spać. Zrobiłem małą przepierkę, żeby pozbyć się resztek knajpy spod paznokci. Potem otworzyłem komputer, a słowa wypadały spod moich palców i roztrząskiwały się na ekranie. Spadały jak gwiazdy, aż zaczerniły całą stronę i nastała ciemność. Bałem się w nią spojrzeć. Przykryłem się kocem, cały się pod nim schowałem. Leżałem jak w ciemnej jamie. Oddychałem powoli, aż zrobiło mi się ciepło. Chciałem być zającem, chciałem być lisem, chciałem być psem. Za dużo słyszałem, za dużo czułem.

Na grupce „Kraków – oddam za darmo” zgarnąłem od gościa słuchawkę wygłuszającą. Odtąd, jak nastolatek, chodziłem do pracy w słuchawkach.

Jedenastego listopada nie pojechałem do domu. Kiedy rozmawiasz z mamą, musisz pilnować oczu. Czy mają być pogodne i przejrzyste, szeroko otwarte, prawie wesołe. Nic nie musisz mówić, tylko oczy, oczy musisz mieć jasne i czyste.

Umiem pilnować słów.

Ale oczu się nie da tak na dłuższą metę.

W grudniu byłem tylko na wigilii. W pierwszy dzień świąt odsypiałem robotę, późno zszedłem na śniadanie, specjalnie zwlekałem, żeby nikogo już nie było przy stole, żeby brat już wyjechał, żeby z nikim nie rozmawiać. Spakowałem się przed ostatnim autobusem.

– Musisz już jechać, synku? Jutro bym cię odwiozła na dworzec. – Przekrzywiłem głowę, zarzuciłem plecak na ramię, znak wymowniejszy niż tysiąc słów pożegnania. Zarzucony plecak znaczy, że nie ma odwrotu. Pocałowałem ją w policzek, ojciec klepnął mnie w ramię. Przy furtce wcisnął mi w dłoń pięćdziesiątkę. „Rok temu dał mi stówę” – pomyślałem, ale rozciągnąłem usta. On też się uśmiechnął. – I jak ty sobie tam radzisz, chłopaku? – Machnąłem mu z drogi.

W autobusie śmierdziało ropą.

Po Nowym Roku zaraz obok naszej knajpy zamykał się hostel. Koło kontenerów wałały się stosy pościeli. Wziąłem sobie kilka prześcieradeł, kołdrę i dwie poduszki.

Następnego dnia rano znalazłem pralnię samoobsługową z suszarkami. Wyprałem wszystko, jeszcze dorzuciłem własne ciuchy. Wyszły ciepłe i pachnące. Kosztowało mnie to 21 złotych. Poczułem się bogaty.

Tej nocy pierwszy raz od dawna rozłożyłem kanapę i pościeliłem prawdziwą pościel.

W nocy spadł śnieg.

Rano świat był biały i nie wiedziałem, czy jeszcze leżę w tej świeżej pościeli, czy już idę drogą bez chodnika na pętlę. Wydawało mi się, że idę, ale na pętli nie stoi żaden autobus, bo wszystko zasypane jest śniegiem i na tym śniegu nie ma ludzkich śladów, i nie wiem, co mam zrobić wobec ogromu piękna, więc klękam przed tą bielą, opieram się na rękach, nabieram śniegu w dłoń, przecieram nim twarz. Mróz lekko szczypie mnie w policzki. Odwracam się i widzę ślady psich łap. Robię krok i to są moje ślady. Jestem psem i jestem wolny, nie muszę już nic mówić, nic tłumaczyć. Nigdy już tu nie wrócę, dociera do mnie, że jestem psem, jestem wolny. Nigdy już tu nie wrócę.

Tak pomyślałem, ale to była nieprawda.

To był sen. Zasnęłam i pani Hanna wezwała mnie do swojego biura. Kazała mi zdjąć słuchawkę.

Jej biuro. Wykładzina, stolik ze sklejk, regał z żółtymi segregatorami. Okno. Zepsuta żaluzja. Kaloryfer odkręcony na maksa. Zrobiło mi się gorąco. Szarpałem ściągacz swetra przy szyi, kiedy ona mówiła o wymaganiach, obowiązkach, odpowiedzialności i zwykłej ludzkiej przyzwoitości. O tym, że nikt jej tak nie rozczarował jak ja i że to się już zdarza kolejny raz, że czy można na mnie polegać i co ja sobie wyobrażam, że ona życie oddała temu miejscu, które stworzyła od zera, a teraz klienci się skarżą i ona też widzi, że jestem nienormalny, że sobie nie radzę, że przenosi mnie na zmywak, bo nie da się pracować z ludźmi i ludzi unikać, choć ludzie to świnię i że bym nie liczył, że ktoś mnie doceni, bo nikt mnie nigdy nie doceni tak jak ona, która daje mi kolejną szansę.

Kolejna szansa to był bankiet. Miałem przyjść szóstego stycznia na bankiet. Na zmywak. Za 9,90 za godzinę.

Wyszedłem z jej biura i wyrzygałem się na podłogę w kiblu. Potem to pościarałem, wypłukałem szmatę, spojrzałem w lustro. Na górze dudniła muzyka. Jak się masz? Zasłoniłem uszy rękami. Odsłoniłem białe kły w uśmiechu. Oczy miałem przekrwione.

W Trzech Króli otwieraliśmy po południu, bankiet zaczynał się o dziewiętnastej. Był catering, wykałaczkę do serów, krążki sushi, wino w kieliszkach na tacy, pani Hanna z nerwów podjadała winogrona, więc trzeba było zmniejszyć liczbę półmisków z owocami. Zewnętrzna firma rozłożyła ściankę z logotypem sponsora. Fotograf poprosił o butelkę sople, ale pokręciłem przecząco głową. Wódkę mieliśmy sprzedawać na kieliszki. – A kim ty tu jesteś, żeby mi odmawiać? – Wzruszyłem ramionami i zniknąłem mu z oczu. Nic nie miałem do zrobienia na zmywaku, więc pani Hanna postawiła mnie przy drzwiach. Ludzie zaczęli przychodzić w pół do, jeszcze zanim oficjalnie skończyła się gala. Krążyli leniwie, przystawali, mężczyźni poprawiali marynarki, kobiety poprawiały usta. Pani Hanna podgłośniała muzykę. Po dziewiętnastej był już tłum. Nigdy tu nie widziałem tylu ludzi. Fotograf ustawiał ich grupkami na ścianie. Kobiety wciągały brzuchy, faceci przyjmowali nonszalanckie pozy. Widać było, z kim się chcą, a z kim nie chcą fotografować. Fotograf w centrum ustawiał faceta w szarej marynarce i w dzinsach. Potem ktoś wznosił toast i wtedy ten w szarej podryfował z kieliszkiem w rękę w tamtą stronę. Przechodząc, minął mnie bardzo blisko. Jakiś otyły mężczyzna wygłosił laudację. Ten szary podziękował. Kilka razy rzucił okiem w stronę drzwi, gdzie stałem. Miał sarnie oczy. Zrobiło mi się go żal.

Za drzwiami stała torba fotografa, w której miał schowaną butelkę wódki. Wyjąłem ją i zabrałem na zaplecze. Nie widziałem, jak zareagował, stałem już wtedy na zmywaku, całkowicie wolny od podejrzeń. Podobno się wściekł i zrobił awanturę.

O drugiej pani Hanna odwiozła go takśówką do domu. Tłum się przerzedzał, w końcu został tylko ten w szarej i my. Ściszyłem muzykę. Nowa, ta, która przyszła po Natalii, przyciemniła światło. Nie

wiedziałem, że tak można. Zrobiło się prawie przyjemnie. Szary oparł łokcie na barze. Wyjąłem butelkę fotografa i bez słowa mu nalałem. Nowa została z nim na górze, gdy ja zszedłem na dół umyć kibel. Kiedy wróciłem, Szary ledwie się trzymał na nogach.

– Odwiesz go? – spytała nowa i wyszła. Szary wręczył mi kluczyki do samochodu. – Masz prawo? – Skinąłem.

Na parkingu przed nieczynnym hostelem stał tylko jeden samochód. Naciśnąłem lokalizator. Mrugnął światłami. Szary z rozpędu chciał usiąść na miejscu kierowcy, ale stanowczo posadziłem go z tyłu. Nie stawiał oporu.



Ustawiłem fotel i lusterka. Ładny wóz. Spojrzałem na Szarego z nadzieją, że poda mi adres, ale on już spał na tylnej kanapie.

Co miałem zrobić? Pojechałem do siebie. Przyjemnie było tak jechać przez puste miasto.

Zaparkowałem na ulicy i pomogłem mu wysiąść. – Tu nie ma nawet chodników, gdzieś ty mnie wywiozł? – pytał, ale się nie szarpał.

W pokoju położyłem go na kanapie, zdjąłem marynarkę, koszulę i buty. Kiedy wróciłem z łazienki, leżał skulony na mojej poduszce. Przykryłem go kołdrą. Usiadłem przy stole i patrzyłem, jak śpi. Słyszałem jego oddech. Gdybym przystawił ucho do klatki piersiowej, usłyszałbym bicie serca. Otworzyłem laptop, a moje palce, jak nigdy dotąd, zaczęły szeptem układać słowa jedno po drugim, jedno po drugim, niemal bezszelestnie, żeby go nie obudzić. I nie obudziłem go.

Rano zrobiłem mu kawę. Nie miałem nic do jedzenia, bo ja nie jem w domu śniadań.

W zasadzie nic w domu nie jadam. Przyniosłem mu kubek do łóżka. Usiadł. Wziął go ode mnie, a jego palce, chłodne i lekkie jak pergamin, na moment splotły się z moimi palcami. – Dziękuję – powiedział i znowu sarnie oczy, jakby spłoszone do ucieczki, powędrowały ku drzwiom. – Przepraszam, narobiłem ci kłopotu? – Spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się. Była dziewiąta, powinienem już być na pętli, ale on siedział u mnie w samych majtkach i nie wiedziałem, jak mu powiedzieć, że musi iść. Więc nic nie powiedziałem. Wypiliśmy kawę i dopiero wtedy wyszedłem. Szary został w moim pokoju.

Na ulicy podjąłem decyzję, że pojadę samochodem. Kluczyki miałem w kieszeni.

W knajpie pustki. Nowa ogarnęła się ze sprzątaniami, w południe przyszła jedna rodzinka na sernik. O dwudziestą drugą pani Hanna kazała nam zamykać. Powiedziała, że za dzisiaj wypłaci nam połowę stawki, bośmy nie zarobili nawet na prąd. Nowa trzasnęła drzwiami. Mnie było wszystko jedno. Wracalem do wynajętej mikrokawalerki, w której, miałem nadzieję, będzie Szary.

Ale go nie było.

Zostawił mi na poduszce kartkę z telefonem.

Wysłałem SMS-a. Oddzwonił. Nie odebrałem. Nagrał głosówkę. Zapytał, jak ma odebrać samochód i czy może do mnie przyjść. – Dzięki za kawę – dodał. Napisałem mu, że wie, gdzie mieszkam, i że jbc mam jego kluczyki. W drugim SMS-ie napisałem, że czekam.

O północy zapukał do drzwi.

Wniósł ze sobą zapach jedzenia i butelkę wina. Potem się okazało, że w kieszeni płaszcz miał drugą. Usiadł przy stole. Nie miałem kieliszków. Piliśmy więc cierpkie czerwone wino z kubków po kawie i jemu to nie przeszkadzało. Opowiadał mi o sobie, ile ma lat, co robi w firmie ojca, że jest zupełnie od niego zależny, że jest nikim. – Chciałbym być pisarzem – powiedział nagle – ale teraz więcej osób pisze, niż czyta, więc bilans jest raczej ujemny – dorzucił i się roześmiał. Ja też się śmiałem. O nic nie pytał albo jeżeli pytał, to sam sobie odpowiadał. Potem otworzył drugą butelkę, a ja pomyślałem, że jak on pojedzie tym samochodem,

i postanowiłem, na wszelki wypadek, nie oddać mu kluczyków, lecz on ich wcale nie chciał. – Jak ty pięknie potrafisz słuchać – powiedział i wnętrzem lekkiej dłoni potarł mój szorstki policzek. Nie odsunąłem się. Chłodny i miękki był jego dotyk. Wziął moją głowę w obie ręce, palce zanurzył we włosy za uszami, splątał mnie z sobą, a oczy, jego sarnie oczy, nie umykały na boki, tylko patrzył, jak nikt nigdy na mnie nie patrzył, i wydawało mi się, że widzi mnie tak, jak nigdy nikt mnie jeszcze nie widział. Bałem się, że się rozplaczę, łykałem ślinę, żeby łzy spływały do środka, aż wreszcie musiałem ze wszystkich sił zacisnąć powieki, żeby nie wypuścić tych łez na zewnątrz, i wtedy on pocałował moje oczy. – Masz takie wierne spojrzenie – wyszeptał. Jego oddech pachniał tarniną i wiatrem, usta miał suche, spierzchnięte, poplamione czerwonym winem. „Chciałbym być twoim psem” – pomyślałem i nawet otworzyłem usta, żeby to powiedzieć, ale on zamknął je swoimi. Oddałem mu swój język, a on wziął go sobie, jakby był jego. Wyssał ze mnie wszystkie myśli, wszystkie słowa, zabrał moją rozpacz i po raz pierwszy leżałem na prześcieradle pusty jak biała kartka. Leżałem i dyszałem, potem poszedłem napić się wody z kranu, chleptałem ją prosto ze strumienia. Kiedy wróciłem, spał zawinięty w prześcieradło. Położyłem się obok niego, lecz nie zmrużyłem oka. Bałem się, że jeśli zasnę, to wszystko okaże się snem.

Ale nie.

Przychodził do knajpy, siedział przy barze do końca, potem wręczał mi kluczyki i jechaliśmy do mnie. W łazience było coraz więcej jego kosmetyków, pościel pachniała jego ciałem.

Nad ranem otwieraliśmy okno i paliliśmy jednego papierosa na spółkę, kiedy się zaciągałem, bawił się moimi włosami.

Wiosna przyszła nagle i w marcu po raz pierwszy zabrakło mi kasy na czynsz. Pracowałem więcej niż na początku, ale pani Hanna czasem wypłacała połowę, poza tym odliczała wszystkie braki na barze od naszych pensji. Przeliczyłem wszystko jeszcze raz w domu na spokojnie, ale nie chciało wyjść inaczej. Nie miałem na czynsz. – Zrobię ci przelew, daj mi kompa – rzucił od niechcienia. – Przecież prawie tu mieszkam.

Wpisałem imię mojego psa i podałem mu laptop. Zalogował się do banku. Potem sprawdził pocztę.

Tej nocy kochał się ze mną mocniej i gwałtowniej niż zwykle. Nie pozwolił mi się pocałować. Z całej siły wciskał moją twarz w poduszkę. Kiedy chciałem się odwrócić: – Zamknij się – warknął.

Rano zapytał, czy zrobię mu kawę. Nie miałem czasu, już musiałem wychodzić. Nie odpowiedziałem. Rzucił w moją stronę kubkiem. – Dlaczego nie odpowiadasz, jak cię pytam? – Zamknąłem za sobą drzwi. – Dlaczego nie odpowiadasz, kundlu? – Zbiegłem po schodach, wpadłem na pętlę w ostatniej sekundzie, ale autobus właśnie zniknął za zakrętem. Zemdliło mnie z nerwów, że się spóźnię i pani Hanna mnie wywali jak Natalię. Chciałem do niego napisać, żeby mnie podrzucił do pracy, ale w głowie mi huczało to ostatnie słowo. Roztrzęsły mi się ręce. Czułem narastający dygot, jakby ziemia drżała pod nogami. Następny autobus był za czterdzieści pięć minut. Tyle czasu telepałem się na ławce. Ci, którzy przyszedli na ten sam autobus, trzymali się ode mnie z daleka. Wsiadli innymi drzwiami. Patrzyli spoje łba. Miałem ochotę gryźć i szarpać z bezsilności i strachu.



Do pracy przyszedłem spóźniony ponad godzinę. Pani Hanna nie powiedziała mi nic. Cały dzień pracowałem w milczeniu pod jej czujnym spojrzeniem. Kiedy zamykałem, powiedziała tylko, żebym uważał. Zabrzmiało to jak groźba.

Noc była ciepła, pachniała mokrą ziemią i nie chciało mi się wracać do domu. Bałem się, że Szary tam jeszcze jest. Nie chciałem go dzisiaj spotkać. Zresztą nie miałem

na bilet, więc ruszyłem na piechotę. Dawno nie chodziłem, zapomniałem, jaka to przyjemność przejść kilka kilometrów, bez celu. Nie najkrótszą drogą.

Sam nie wiem, jak koło południa znalazłem się na dworcu. Pomyślałem, że muszę do kogoś napisać, ale z przerażeniem odkryłem, że nie mam plecaka, nie mam telefonu, nie mam dokumentów, nie mam pieniędzy. Chciałem schować się pod koc, nakryć się z głową, zakopać w ciemnej jamie, wsłuchać we własny oddech, w ciszę pod szorstkim kocem. Ale na dworcu było za głośno, było za głośno, było za głośno. Nie dało się nic powiedzieć, nic usłyszeć. Ktoś złapał mnie za ramię. Chciałem go ugryźć z bezsilności i strachu. Szarpnąłem się. Ktoś inny wezwał policję i karetkę. Bałem się i chciałem uciekać, a potem opadłem na dno, pod korzenie drzew, moje myśli otuliła ściółka zeszłorocznych liści, a słowa stały się ciężkie jak łeb psa. I nie wiem, kto mnie o co pytał, ale napisałem im swój adres i imię, i nazwisko. Podałem telefon do mamy i taty. Do Szarego nie miałem telefonu na pamięć. Przepadł razem z karteczką, którą kiedyś znalazłem na poduszce.

Zasnąłem i spałem kilka tygodni. Kiedy się budziłem z przerażeniem, że się spóźnię do pracy, pielęgniarka dawała mi tabletkę i znów zasypiałem.

W kwietniu zakwitły bzy i wtedy mama odebrała mnie ze szpitala. Całą drogę mówiła, że bardzo się z tatą o mnie martwili i że mój kolega był u mnie w szpitalu kilka razy, pytał, kiedy zapłacę za czynsz. Przywiózł moje rzeczy, komputer i pościel, skąd mam taką drogą pościel, pytała, ale ja nie umiałem jej odpowiedzieć. Milczałem.

W domu położyłem się spać. Byłem bardzo zmęczony.

Na Wielkanoc przyjechał brat z żoną. Kupili sobie pieska. Wszyscy biegali i ścierali po nim siki. Mama żartowała, że zrobił nam lany poniedziałek w niedzielę. Uśmiechałem się i jadłem żurek. Potem poszliśmy z pieskiem na spacer. Odłączyłem się od nich i skręciłem do lasu. Mama miała zaniepokojoną minę, tato położył jej rękę na plecach. – Niech idzie. Las jest dobry.

Las jest dobry. Wszedłem między buki, zaplątałem się w ich korzenie i upadłem.